

ZBIERACZ

LITERACKI I POLITYCZNY.

MISSYJONARZ.

POWIĘŚĆ.

(*Dalszy ciąg.*)

Rozpacz nie tak prędko porzuca zdobycz swoją, gdy ją raz wszpomy uchwyci; chociaż płacz dziecka i męża jęki, już nie rozdzięrały serca Ludwika, miejsce tych cierpień zajęło uczucie zupełnego ubóstwa i opanowało jej fantazyę. Na lekarstwa dla męża i na pokarm dla dziecka zmuszoną była wyprzedać powoli wszystkie swoje sprzęty i bieliznę. Dotąd będąc za nadto szczęśliwymi nie myśleli, by coś z dochodów swoich na przypadek oszczędzić, i żyli z dnia na dzień, nie troszcząc się o jutro, jak ptak na łonie natury. O, jakże Ludwika musiała teraz za tę niedbałość pokutować, kiedy wszystko wyprzedać była zmuszoną, kiedy własne sprzęty, jak gdyby kradzież popełniała, tajemnie z

domu wynosić jej przyszło, i kiedy zmuszoną była długi nawet zaciągać. O, tak jest, długi zaciągała! aptekarzowi tyle dłużną była, że ten, mimo leż jej, nie chciał już dawać lekarstw dla męża; tyle była dłużną kupce z dołu, że i ta już mleka dla dziecka dawać nie chciała. Te dwie tak drogie dla niej osoby cierpiały, a ona dla braku pieniędzy żadnej ulgi sprawić im nie mogła! Sama przez dwa dni nie miała w ustach ani kawałka chleba! A przy tym głódzie i przy tej męczarni, przy cierpieniach ciała i duszy, nie było żadnej nadziei! Dzieci dziśjszy miał być podobny do wczorajszego, a jutrzejszy równać się dziśjszemu. Mąż z braku pomocy do zdrowia nie przyjdzie, dziecko z braku pielęgnowania zaginie... A tę wielką boleść sama jedna znosić musi!... Gdy tak rozpacza, dał się słyszeć głos męża; obudził się i stęka. Zona słyszy to, a nie

może pospieszyć do niego; nie może podnieść się z miejsca, bo obudziłaby dziecko, które od wczoraj zasnąć nie mogąc, szczęśliwie nareszcie usnęło. — «Ludwiko! Ludwiko! Daj mi co pić!» — «Zaraz, kochany mężu, zaraz. Dziecko usnęło na moich kolanach.» — «Ah, Ludwiko! pójdz tutaj; zaschło mi w ustach, pierś ogniem pała; uduszę się.» — «Mój Boże! Karolek znowu płakać zacznie.» — «Ludwiko, ty mnie już nie kochasz, kiedy mnie tak opuszczasz.» — «Ależ dziecię, dziecię! mój Boże!» — «Ah, siły mię opuszczają... Ludwiko — Ludwiko, umieram...» — Zwolna słabniejący głos chorego zamilkł, a chrypliwe jęki, które się jeszcze z piersi wydobywały, przestraszyły Ludwikę. Powstała ostrożnie i zwolna, dla zaniesienia dziecka na łóżko ojca; lecz to za najmniejszym poruszeniem obudzilo się z lekkiego snu, zaczęło mocno krzyżeć i wic się w ramionach matki. — Chory zapadł w mdłości i długo trwalo za nim przytomność odzyskał; Ludwika bowiem musiała dręczenie od kurczu dziecko zatrzymać na ręku, a przeto mężowi

tylko niedostateczną dać mogła pomoc. Nareszcie oczy jego do połowy się etworzyły i podniósł cokolwiek głowę. Chwil kilka martwym w około siebie powodząc wzrokiem, skinał ręką, by wyniesiono dziecię. — «Krzyk jego tak mi jest przykry, że o mało głowa mi nie pęknie, która tak jest słabą i bolejącą,» rzekł przykładając rękę do czoła. Po chwili dodał: «Mam pragnienie.» — Tylko kilka kropel wody przegotowanej z chlebem było w glinianém naczyniu, które Ludwika konwulsyjnie wręku trzymała. — «Mam pragnienie,» powtórzył, «pragnienie Ludwiko!» Dziecko wilo i darło się ciągle. — «Pić mi się chce,» rzekł na pół z gniówem, bo choreba najlagodniejszych ludzi w niecierpliwych przemienia. — «Nie mam nic do picia,» odpowiedziała Ludwika, usiłując dziecko utulić. — «Taką ty jesteś, Ludwiko; tak ty starasz się o mnie.... Ah, mam pragnienie, a ty mi nie pić nie dajesz...» — Ludwika z dzieckiem na ręku, bez celu prawie, zbiegła na dół po wschodaach, bo przekupka już tyle jej razy powiedziała, że nic więcej nie

da bez pieniędzy. Nieszczęśliwa żona i matka na tém tylko tą razą poprzestała, że nic nie mówiąc, wzrok błagalny rzuciła na przekupkę, w której ręku był los téj całej biédnej rodziny. Tyle rozpaczy było w rysach twarzy Ludwika, tyle w twarzy dziecięcia cierpienia, że stara niewiasta uczuwszy litość, wahaając się ręką trochę jéj mléka podała. Ludwika, podziękowawszy ze łzami, pobiegła z mlékiem po wschodach na górę. — Podeszły ksiądz, spieszący szybkim krokiem przez ulicę, spostrzegł nędzę i boleść młodej niewiasty. Czekał, dopokąd się nie oddaliła, a potem wypytywał o nią przekupki. Ta opowiedziała mu wszystko, co miała na sercu. Ksiądz słuchał w milczeniu i po krótkim namyśle udał się na górę. Zeicha do drzwi zapukawszy, wszedł do komnaty i przystąpił do łóżka chorego malarza, na którym widok katolickiego kapłana bolesne sprawiał wrażenie, bo mu śmierć blizką przypominać się zdawał. — «Czego chcesz wielbny ojeze ode mnie?» ofuknął go malarz, «jestem protestant.» — «Najpierw jesteś wać-

pan człowiekiem,» odpowiedział ksiądz z łagodnością. «Mówiono mi na dole, że już od trzech dni nie odwiedzał cię lékarz; mam niektóre lékarskie wiadomości i ofiaruję mu pomocmoję; cóżto szkodzi, czy ona od katolika, czy od protestanta pochodzić będzie, byle tylko ulgę sprawiła.» — Chory zawstydzony się, iż tak niesłusznie powstał na księdza, podał mu rękę. — «Stan zdrowia waćpana nie jest już w niebezpieczeństwie,» rzekł osiwiady kapłan, rozpoznawszy słabość chorego, «jesteś tylko bardzo osłabiony i potrzeba ci jedynie używać lekkiego i zdrowego pokarmu.» — I rozporządził kosztowny sposób życia, jak gdyby się znajdował u majątnego człowieka, a nie w obnażonej ze wszystkiego komnacie, gdzie jeszcze tylko łoże chorego stało. — «A teraz musisz mi waćpan pewną przysługę zrobić. Potrzebujemy obrazu dla naszego klasztoru; skoro to waćpanu nie uczyni wielkiej nieprzyjemności, że dla kościoła katolickiego pracować będziesz, to mógłbyś podjąć się tego dzieła. Płacimy zwykle 800 franków za taki obraz. Oto jest

200 naprzód; jutro resztę przyniosę. Pani zaś, jeżeli potrzebujesz roztropnej sługi, która by jej pomagała w domu i przy pielęgnowaniu obu chorych (mówił dalej) to mogę jej polecić pewną pracowitą dziewczynę, która nie daleko ztąd mieszka, a którą o tém natychmiast zawiadomię. Teraz odchodzę, bo wkrótce wybijie godzina, w której kazanie mieć muszę.» — To rzekwszy oddalił się, tyle nawet malarzowi i żonie jego nie zostawiwszy czasu, by mu podziękować mogli. — Nie minęło pół godziny, a przyszła owa obiecana dziewczyna i tak czynnie zajęła się pracą, że chory leżał wkrótce w białopowleczoneńm łóżku i zasnął po lekkim obiedzie. — Nawet Karolek uspokoił się powoli i usnął na kolanach swojej nowej piastunki. Ludwika z powrotem nadziei odzyskała siły i otuchę.

III.

Tymczasem mnóstwo słuchaczy w kościele *St. Sulpice* oczekiwało z niecierpliwością kaznodziei, który tam dnia tego miał dać się słyszeć z kazaniem. Wnioskują z tego mnóstwa słuchaczy, kaznodzieja ten wielką musiał mieć sławę, bo zgromadzili się

nie tylko gorliwi katolicy, ale były tam także osoby wyższego rzędu, i zeszło się wielu owoczesnych modnisiów, którzy, jak się zdawało, więcej dla ciekawości, niżli z nabożeństwa przyszli. Świetne powozy zapelniały dziedziniec kościelny; lokaje w sutęj barwie zalegali stopnie prowadzących do kościoła wschodów, i z trudnością tylko mógł kapłan, wracający właśnie od chorego malarza, przez tłum się ten przecisnąć. Nareszcie bez tehu prawie i spoczynny, dostał się do kazalnicy. Szmer powstał pomiędzy obecnymi, zdający się być długiego czekania zarzutem. — Kapłan nie zważając na to, otarł pot z czoła rękawem swojej szaty, wstąpił na kazalnicę, dał znak, by się uciszono i rzekł powolnym głosem ten wiersz psalmisty:

« Dobrodziectwami obdarzył ubogich, a wypędził bogactwów. »

Potém rozpoczął ów sławny ustęp do kazania, który nam ksiądz Maury przechował, a który uznano słusznie za najwymowniejsze miejsce w pismienictwie francuzkiem: (1.) —

(1.) Ten ustęp z kazania sławnego misyjonarza Bridoine, umieszczamy w przekładzie Stanisława Potoc-

«Na widok tak nowych dla mnie
 «licznie zebranych słuchaczy,
 «zdaje mi się bracia moi, iż
 «bym nie powinien ust otwie-
 «rać, jak tylko błagając od was
 «przebaczenia dla biédnego mis-
 «syjonarza, ogłoconego z wszy-
 «stkich talentów, których wy-
 «magacie od tych, co do was
 «mówią o waszém zbawieniu.
 «Doznaję przecież dzisiaj wraz
 «różnych uczuć, a jeżeli upo-
 «korzony jestem, strzeżcie się
 «mniemać, że się poniżam do
 «nędznych niespokojności, któ-
 «re próżność wzbudza. Niechaj
 «Bóg nie dozwala, by tłumacz
 «niebios mniemał, że przed
 «wami potrzebuje wymówki!
 «bo czémkolwiek jesteście, je-
 «steście, jak ja, tylko grzesznika-
 «mi. Przed Bogiem to waszym
 «i moim, czuję się zagnonym
 «w tój chwili uderzyć w piersi.»
 — «Dotąd głosiłem sprawiedli-
 «wość Najwyższego w świąty-
 «niach strzechą pokrytych; ka-
 «załem surowość pokuty nie-
 «szczęśliwym, którym na chle-
 «bie zbywało; ogłaszałem do-
 «brym wsiów mieszkańcom pra-

«wdy religii mojej. Cóż uczy-
 «niłem? Nieszczęśliwy! zasmu-
 «ciłem ubogich, najlepszych
 «przyjaciół Boga mego; po-
 «niósłem obawę i żalność w te
 «dusze proste i wierne, nad
 «którymi litować się, i które
 «pocieszać byłem powinien. Tu-
 «taj gdzie wzrok mój nie pa-
 «da, jak tylko na wielkich, na
 «bogaczów, na grzeszników zu-
 «chwałych i zakamieniałych,
 «ah! tutaj tylko należało mi
 «grzmieć słowem świętém w
 «całej piorunującej mocy jego
 «i wraz ze mną w tój postawić
 «kazałni, z jednej strony śmierć,
 «co nam zagraża, z drugiej me-
 «go wielkiego Boga, który przy-
 «chodzi, by was sądził. Trzy-
 «mam dziś wasz wyrok wręku
 «moim. Drzyjcie więc przede
 «mną ludzie, co mnie słucha-
 «cie! Potrzeba zbawienia, pe-
 «wność śmierci, niepewność tój
 «tak straszliwej dla was godzi-
 «ny, niepokuta ostateczna i sąd
 «ostateczny, mała liczba wy-
 «branych, piekło, a nade wszy-
 «stko wieczność — wieczność!
 «Otoż przedmioty, o których
 «przychodzę do was mówić, a
 «które bez wątpienia byłbym
 «powinien dla was samych za-

kiego, z jegoż dzieła: *O wymowie i stylu*, tom drugi, część I. str. 49. Warszawa r. 1815. (P. R.)

«chować.» — «I cóż mi po waszych poklaskach, coby mnie mogły potępić, was nie zbawiając. Bóg was wzruszy, podczas kiedy niegodny sługa jego mówi do was będzie, bom nabył doświadczenia miłosierdzia jego. Wtedy przeniknieni wstrętem ku przeszłym nieprawościom waszym, rzucicie się na łono moje, wylévając łzy skruchy i żałości, a sama ma moc zgryzoty uczyni, że maie dość wymownym znajdziecie. (2.) — Trudno opisać, jak głębokie wrażenie wyrazi te księdza Bridoine robiły na uprzedzonych przeciw niemu słuchaczach; wszyscy słuchali go w milezeniu i z pobożném podziwieniem. Po kilku chwilach przerwy mówił dalej: —

(2.) Dotąd przekład Stanisława Potockiego.

«du ginęło; matkę, która jest tak nieszczęśliwą, że nawet o opatrności boskiej powątpiewać chciała. I przez czeżepoważanie znakomitych ludzi miałem ja, kapłan zbawiciela, od tak wielkich odwracać się cierpień, zgłodniałych nie nakarmić, nie pocieszyć strapiionych? Miałem to uczynić, aby was nie obrazić, uczynić to przez wzgląd na niecierpliwosć waszą? Padnijcie na kolana wy wszyscy i módlcie się do Boga o przebaczenie; wy obciążeni winą grzesznicy, którzy Bóg w dzień sądu ostatecznego zgłodniałych może od stołu zbawienia oddali, rzucicie Łazarzowi okruszyny uczt waszych, ażeby choć jeden głos odezwał się za wami, gdy trąba anioła zemsty owestraszne wyrazi: Sąd ostateczny! Sąd ostateczny! po świecie roznosić będzie, wyrazi, na które obudzą się zmarli, a winowajcy zadrzą... Kto z was ośmielił się podnieść oczy do ojca i do syna, siedzącego po jego prawicy? Kto z was odpowiód, jeżeli głos niezemnieprzekupiony zapyta: «A gdzie są dzieła wasze?» Wtedy owe

«skargi, którychście nie ukoili,
 «boleści, którym nie przynieśli-
 «ście ulgi, a któreście tak ła-
 «two zaspokoić mogli, powsta-
 «ną na was i będą wołać: «Bia-
 «da! Biada!» Głos ten pójdzie
 «za wami aż do piekła, gdzie
 «grzesznik jęczeć będzie. Głos
 «ten stanie się karą waszą na
 «wieki.» — «Spieszcie zatem o-
 «calić dusze wasze, jak długo
 «czas jeszcze po temu; staraj-
 «cie się o wstawicieliów za wa-
 «mi w dniach zemsty i gniewu:
 «jeden tylko macie środek uła-
 «godzić sędziego, trzymającego
 «los wasz w swoim ręku, a
 «tym środkiem jest dobroczyn-
 «ność.» — «Potrzebujź jeszcze
 «do tego, com powiedział, choć
 «jedno dodać słowo? Potrzebu-
 «jęż ogłaszać wam przykazanie
 «Boga, o którego miłosierdzie
 «proście? Bądźcie dobroczyn-
 «nymi, albowiem dobroczyn-
 «ność tylko ocalić was może...
 «Ale spieszcie się, spieszcie,
 «bo nie pozostaje wam może
 «do tego ani dni czterdziestu,
 «tyle czasu, ile prorok miastu
 «Niniwie zezwolił. Może jutro,
 «dzisiaj może, może w tój chwi-
 «li dotknie was pocisk śmierci.
 «Może wam nawet chwila nie

«pozostaje między dobrą my-
 «ślą a śmiercią, między niebem
 «a piekłem, między tём zni-
 «komém życiem a wiecznością
 «— wiecznością!... czy rozu-
 «miecie mię dobrze! — wieczno-
 «ścią!»

(*Dokończenie nastąpi.*)

ŻAL MATKI. (*)

Wszystko burza niszczy w sadzie,
 Kwiat i owoc razem kładzie,
 O roznieście głośnie dzwony
 Smutek matki nieskończony!
 Razem z nadziejami mémi
 Muszę dziecię oddać ziemi.
 Pójdiesz niknąć w wiecznym grobie,
 W lżach mych tylko ślad po tobie!

Nie użyłoś jeszcze świata,
 Nie widziałoś jeszcze lata:
 Ani tobie kolébeczki,
 Umailam w me kwiateczki;
 A już z tobą śmierć ubiega,
 Jak od drzewa z po nad brzegą,
 Niesie strumień niezblagany,
 Wiatrem pączek oderwany.

Rachowałam ja na ciebie,
 Teraz wszystko z tobą grzebię,
 Nie dożyłam tój pociechy,
 Widzieć przecie twe uśmiechy;

(*) W jednym z ostatnich numerów Tomu IIIgo niniejszego pisma, umieściliśmy wiersz tójże samój treści, przez S. Witwickiego; dzisiejszy jest pióra K. Brodzińskiego celem porównania tych dwóch znakomitych Poetów Polskich.

Ani mi to przyszło biednej,
Tęj radości dożyć jednej,
Byś się do mnie śmiejąc miło
Słowem: matko! przemówiło.

Kiedy przy mnie szczęsne matki,
Piastowały hoże dziatki,
Zust ich wdzięczny uśmiech ssały,
Lub z nich słówka wywabiały,
Ból był twoich dni osnową,
Płacz jedynie twoją mową.
Ból twój dzieląc każdą dobą,
Płaczem rozmawiałam z tobą.

Księżyc z słońcem się mieniali,
By nad ziemią straż trzymali;
Dla mnie była radość cała,
Bom cię dzień, noc piłnowała,
Ale co już głos anioła,
W swoje kraje ztąd wywoła,
Tego mury i żołnierze,
Nawet matka nie ustrzeże.

Uzbrojoną srogą kosą
Śmierć na skrzydłach wiatry niosą;
Wchodzi w zamki, wchodzi w chatki,
Bo nie słyszy płaczu matki;
Tak i do mnie przyszła śmiało,
Gdyś na moich ręku spała,
Milejąc zwolna na móm łonie,
Ubroczyła w tobie dłonie.

Nadzieja mnie już niestała,
Pieśń ostatnią odspiewała;

Już cię więcj nie zobaczę!
Łzami ja cię niech oplaczę!
Nim ubrane będziesz wbieli,
Wiecznej matce do pościeli,
Łzami ja cię niech oplaczę;
Już ja ciebie nie zobaczę!

Błądź piolun na twym grobie,
Będzie w rychłe strojem tobie,
A nadzieje me pospołu
Już zebrane w garść popiołu.
Na toż tylko wzięłoś życie,
By przeplakać krótkie bycie?
Zabrać matce lube chwile,
I uspić je w swjéj mogile?

Głucho będzie w moim domu,
Płakać muszę po kryjomu.
Służki, co się ze mną smucą,
Już ci do snu nie zanucą:
• Niech dziecina zdrowa rośnie,
• Jak lilija w rannjéj wiosnie;
• Jak wyrośnie, obok matki
• Pójdzie w łąki zbierać kwiatki. •

Już nie rośniesz! obok matki,
Już nie pójdiesz zbierać kwiatki.
Już ci teraz w nocnej dobie,
Śpićwać będzie duch na grobie:
• Za przybyłą na świat wiosną,
• Nad twym dolkiem kwiaty rosą;
• Ale twoje synku mały,
• W proch się rączki rozsypały! •

Pismo to wychodzi trzy razy w tydzień to jest: w **PONIEDZIAŁEK**,
ŚRODĘ i **PIĄTEK** o drugiej po południu. — Zaliczenie kwartalne na 36 Nrów
wynosi Złp. 6 i przyjmuje się w handlach Wych Rocha i Schreihera.

W Krakowie Czcionkami Józefa Czecha.